

Samorząd czarnoksiężnika

[Andrzej Jarczewski](#)

W wypowiedziach ojców-założycieli polskiego samorządu coraz częściej słychać ton pewnego zawodu, że co prawda dziecię udało im się znakomicie, ale teraz ma już 20 lat i niekoniecznie chce się rozwijać dalej tak, jak planowali rodzice. Ostatnio (26.11.2010) dał temu wyraz prof. Michał Kulesza na łamach *Rzeczpospolitej* w rozmowie z Małgorzatą Subotić, zatytułowanej: „[Ogromna ofensywa partyjniactwa](#)”.

Nowe idee, rodzące się w atmosferze Okrągłego Stołu, były z natury swej apartyjne. Powszechnie uważano, że skoro całe zło sprowadziła na Polskę pewna partia, to najlepiej, gdyby już żadnych partii nie było. Dopuszczano co najwyżej myśl o komitetach obywatelskich, związkach zawodowych i stowarzyszeniach szlachetnych obywateli.

Pierwsza ustawa samorządowa, jeśli nie liczyć jej prehistorii sprzed stanu wojennego, powstawała więc w atmosferze intelektualnej nieobecności i faktycznej bezsily jakichkolwiek partii. Największy sztandar właśnie wyprowadzano, a licencjonowane stronnictwa przycupnęły w politycznym cieniu, by już nigdy stamtąd – z wyjątkiem ZSL – się nie podnieść. Z kolei partie wychodzące z podziemia, np. KPN, nie zajmowały się zagadnieniami samorządowymi.

Natychmiast po miażdżącym zwycięstwie w gminnych wyborach w roku 1990 – komitety obywatelskie „Solidarność” zaczęły zanikać. Ale ich miejsca nie wypełniły nowo tworzone partie ogólnopolskie. Do gminnych samorządów przyłgnęło marzenie o niepartyjności. Tylko marzenie. Bo jednak partie – z kadencji na kadencję – zaczęły powoli

zdobywać w miastach coraz więcej mandatów i dziś już dominują w całym kraju.

Warto dokładniej przyjrzeć się tym partiom. Nie tym czterem, które ostatnio opanowały niemal bez reszty sejmiki. Na poziomie miast i gmin prawdziwym zwycięzcą okazała się największa polska partia samorządowa – amorficzna **KLAKA**, czyli Koalicja Lokalnych Aparatów Kacyków Aparcyjnych. I jeśli tę partię miał na myśli profesor Kulesza, to wszystkie jego tezy brzmią nader odkrywczco.

Partie – dobro konieczne

Jeżeli konstytucją i całym ustawodawstwem zadekretowaliśmy w Polsce demokrację, to – czy partie lubimy, czy nie – musimy

się z ich istnieniem pogodzić. Bo polityczna natura próżni nie znosi. Miejsce na partię i tak się wypełni. Możemy tylko zastanawiać się nad smakiem i jakością farszu. A tu niestety ogólnopolskie partie popełniły katastrofalne błędy, wytwarzając sztuczną próżnię, podtrzymując puste marzenia o idealnej samorządności i całkowicie lekceważąc praktykę władz miejskich.

Z kolei publicystyka wypełniona jest odpowiedziami na pytanie „jaki powinien być samorząd, żeby pasował do mojej definicji”. Nie widzę syntez pokazujących, jak dzisiejszy samorząd działa i co naprawdę napina ukryte sprężyny. Są, owszem, opisy skrajnych przypadków, ale nie ma wciąż refleksji scalającej, docierającej do istoty rzeczy, wskazującej, że nie są to patologie, lecz nieuniknione następstwa polskiego ustroju samorządowego. Nie błędy, lecz rezultaty!

W zalewie tekstów, wychwalających „dobrych gospodarzy”, nie dostrzega się, że ustawą o bezpośrednim wyborze wójta, burmi-

strza i prezydenta sejm ustanowił władzę absolutną szefa gminy, a same miasta już wcześniej wyposażono w rewelacyjne wręcz gwarancje bogatego finansowania.

Wielka za to chwała ojcom-założycielom, bo teraz w gminach decyzje są podejmowane sprawnie, a pieniędzy starcza na ważne inwestycje, którymi tak chwala się wójtowie przed wyborami. Szefowie gmin stali się faktycznymi suwerenami. I choć dla zachowania pozorów utrzymano istnienie okrojonych rad miejskich, to faktyczne znaczenie radnych sprowadzono niemal do zera, czyli na poziom dobry w systemach kadencyjnych i groźny – [w dożywotnich](#).

Upragnione dożywocie

Te ustrojowe zasady i mechanizmy są doraźnie korzystne dla gminy, ale dla samorządności i ogólniej – dla demokracji – już nie. Ustawodawca żąda tylko przestrzegania prawa, zwłaszcza finansowego. Natomiast cała sfera decyzji merytorycznych i – co ważne – personalnych należy teraz w gminie do tylko

jednego człowieka. O czym więc ten człowiek myśli każdego dnia?

Ano o tym, żeby już nikt nigdy nie ograniczał jego wszechwładzy. Dożywotnio! Manewruje między wielkimi partiami, ale do żadnej nie chce się zapisać, bo to by mogło w cudze ręce oddać decyzję o wyborze kandydata na wójta w następnej kadencji. Niewykluczone też, że koledzy partyjni chcieliby jakoś wpływać na decyzje kadrowe czy inwestycyjne, a przecież na to prezydent nie może się zgodzić, bo wnet przysłaby cała jego władza.

Niejeden szef gminy należał już do jakiejś partii lub z jej ramienia zdobył swój mandat, a to rodzi zobowiązania, również finansowe. By się od nich uwolnić – rozsądny prezydent najpierw stara się tę partię zdominować w regionie, a gdy to okaże się niemożliwe – generuje dowolne konflikty lub po prostu ze starej partii występuje i tworzy wokół siebie parapartię, oczywiście nierejestrowaną. Jest to grupa ludzi „z dostępem do ucha”, którym powierza się pewien zakres lokalnej

władzy, nieinteresujący zbytnio szefa gminy, ale opłacany z budżetu. Jedynym obowiązkiem członków partii wewnętrznej jest działać tak, żeby wójt był zadowolony. Mają nie zawracać głowy problemami i chwalić szefa w mediach, a poza tym – mogą w swojej działce robić, co chcą. Skład tej grupy to przede wszystkim aparat wykonawczy: wiceprezydenci, szefowie gminnych spółek i instytucji, wyselekcjonowani radni tudzież różni krewni i znajomi królika, wyróżniający się posłuszeństwem i nieskażoną jedno myślnością.

Wielokadencyjność na stanowisku burmistrza jest praktykowana w różnych krajach z różnym skutkiem. W Kanadzie z dobrym, na Białorusi – z niedobrym. W Polsce tworzone jest ustawodawstwo, które od dwudziestu lat przybliży nasz system do kanadyjskiego. Ale praktyka – pod względem dożywotniej władzy w miastach – trzyma się raczej wzorców bliższych. Następstwa tego stanu rzeczy są przewidywalne, choć wciąż jeszcze niekonieczne.

Instytuty zamiast billboardów

Jeżeli najpotężniejsze partie ogólnopolskie przegrywają z KŁAKĄ wybory prezydenckie w wielkich miastach, to jest to dowód, że czegoś tu zaniedbano. Jeżeli lokalny kacyk ma prawo (a ma!) traktować budżet gminy jako swój własny fundusz wyborczy, to naprawdę staje się mocarzem prawie nieusuwalnym, zwłaszcza gdy jeszcze urzędowymi zleceniami uzależnił od siebie lokalne media. O ksywę „dobrego gospodarza” bardzo dziś łatwo, bo przecież nie ma w gminie nikogo, kto byłby „lepszy”. A jeśli nawet ktoś jest „lepszy”, to i tak nie jest „gospodarzem”, bo monopol na tę funkcję ma [aktualny władca](#). I tak kółko się zamyka przed jakąkolwiek konkurencją na całe dziesięciolecie.

Duże partie tak źle korzystają z budżetowych subwencji, że nawet PjN sprawdzi teraz gotowość posłów PO do obciążenia lub ograniczenia tej formy finansowania demokracji. A przecież – zamiast na reklamę wizerunkową – można te środki kierować (ustawowo!) na

szkolenie narybku samorządowego i poselskiego. Zamiast billboardów – tworzyć instytuty, badające rzeczywiste działanie samorządów, a nie marzenia. Pracować nie tylko nad doraźnymi programami wyborczymi, ale też nad długofalową myślą polityczną danej partii we wszystkich dziedzinach życia kraju.

Samorządy w Polsce są już dorosłe. Trzeba badać nie definicje sprzed lat dwudziestu, ale stan obecny, rzeczywiste działanie władz miejskich i kierunki rozwoju. I nie naginać praktyki do dawnych wyobrażeń lecz tworzyć warunki, zapewniające nie tylko skuteczność szefom gmin, ale też dające społeczeństwu pełniejszy udział w demokracji. I w satysfakcji.

Andrzej Jarczewski (bezpartyjny) jest niezależnym badaczem samorządu w działaniu. Opublikował m.in. rozprawę o ustroju pt. „Europoliteja”, dostępną na: www.poczytaj.pl